

NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 8.

Bydgoszcz, niedziela 11 kwietnia 1909.

Rok II.

Posłuszni małżonkowie.

Było to już późno w noc. W pokoju gospody „pod wściekłym śledziem“ siedziało siedmiu obywateli z „bractwa piwnego“, racząc się po całodziennych trudach zacnem piwkiem, którego już kilka kufelków każdy spuścił po języku w bezdenną otchłań żołądka. W tem jednemu przyszła następująca myśl do głowy:

— „My tu weselimy się, jak gdyby każdy z nas był wygrał wielki los, ale co tam w domu robią nasze kobiety? Co one powiedzą, że je tak długo zaniedbujemy?!“

Dalejże rada w radę, w końcu stanęło na tem, iż każdy wróciwszy do domu, aby udobruchać swą połowicę, wypełni bez wykrętów, cokolwiek kobieta zażąda. Dnia następnego mieli się znowu zejść i zdać wiernie sprawozdanie z tego, co kto wykonał. Ktokolwiek nie wypełniłby życzenia swej żony, to był zobowiązany „stawić“ kolejkę dla wszystkich. Postanowienie to przyjęto jednomyślnie.

Na drugi dzień zrana zeszli się na rogu ulicy, a tu śmiech i wrzawa: bo oto jeden z tej sławetnej kompanii leży w próżnej beczce i chrapie w najlepsze.

— Co ty tu robisz, Feluś? — zawołali jego towarzysze. Przebudzony wołaniem wygramolił się z beczki.

— Co robię? — odrzekł. — Oto wypełniłem rozkaz mojej żony. Zaledwie wstąpiłem do pokoju, natychmiast przywitała mnie słowy, że kiedy dzień cały mogłem z pełnej ciągnąć beczki, to nocą mogę w próżnej się przespać. Jak widzicie, wypełniłem mój obowiązek, a teraz mówcie wy drudzy.

— Skoro wszedłem do domu — zaczął mówić Leonek — uderzyłem łysiną o próg i narobiłem wielkiego łoskotu. „Lepiej pobudź natychmiast dzieci, — krzyknęła na to moja żona. I obudziłem je aż płakać zaczęły i piastować musiałem, aby je uspokoić; dopiero nad ranem mogłem się do snu ułożyć. Wykonałem mój warunek, niech teraz mówi następny.

— Ja — mówi to Michałek — idąc przez kuchnię zawadziłem w szafę, że aż szcęknęły talerze.

— A ty niegodziwco zawołała z sypialni żona — lepiej je zaraz wszystkie potlucz.

Posłuszny jej woli, wyrzuciłem szafę natychmiast, a miski, flaszki, talerze i garnki

wyleciały z trzaskiem na podłogę i zamieniły się w jednej chwili w jedną kupę skorup.

Przyszła kolej na Pawelka.

— Wchodząc do domu — mówił tenże — zaśpiewałem sobie ulubioną piosnkę, ale mnie też za to przywitała żona.

— Pewnieś nie dosyć w knajpie krzyczał, to śpiewaj, śpiewaj, co ci tehu stanie.

I poszukałem książkę z piosnkami i prześpiewałem z rzędu piętnaście, aż mi w gardle zachrypło i dopiero o świcie usnąłem.

— A co mnie się przytrafiło — począł mówić Franek. — Oto moja żoneczka wieczorem zarobiła ciasto na placki, a potem na psotę dla mnie postawiła mi je w drogę, tak że wchodząc do pokoju potraciłem nogą o misę.

— Pijaku przebrzydły, lepiej wskocz natychmiast w ciasto.

I wskoczyłem, aż ciasto prysnęło na sufit i dno się z misy wyrwało.

— Szkoda — zawołał Wiktorek — szkoda ciasta, ale szkoda i mojego nosa. Wszedłszy do pokoju chciałem iść na palcach i jakoś potoczyłem się trochę.

— Lepiej się zaraz wywróc cały — krzyknęła moja żona i tak się wywróciłem i oto nos sobie zbilłem, patrzcie, jaki siny.

— Tak, tak! Wszyscy się jakoś obmywacie, każdy umiał się wykręcić, choć nie wiem, czy to jest prawda, co każdy tu mówi. Mnie bo poszło inaczej — tak w końcu odezwał się Antek.

— A co, czy miałeś jakie kłopoty? Powiadaj — zawołali chórem wszyscy.

— Kłopotów nie miałem, boć moje kobiecisko jest dobre i zawsze o mnie troskliwe. Ale co w swej troskliwości żądała odemnie, toby i z was żaden nie wykonał. Gdym wrócił do domu, żoneczka moja przywitała mnie mile i słodko, nawet zaczęła żartować i dowcipkować sobie:

— A co ojciec — mówiła — dziś masz dobrze w czubie; głowa cięży i w gardle sucho. Spodziewałam się tego i dla tego przygotowałam ci dwa kubły świeżej wody; teraz pij, pij, pij, aż ci z głowy wyjdzie.

Tak mówiła dobra żonka; ale jak tu dwa kubły wody zaraz wypić? Nie mogłem, bo to chyba na długo starczy.

— Więc przegrałeś — krzyknęli wszyscy — i rachunek cały zapłacić musisz!

I Antek zapłacił!

Sztuczny deszcz.

Czy można deszcz wywołać sztucznym sposobem? Kwestya ta wypłynęła w Nowej Zelandyi i przy tej sposobności przypomina „Journal des Debats“, że jednym z pierwszych z pionierów tego pomysłu był Francuz, niejaki Karol Maout, na myśl zaś o wywołaniu sztucznego deszczu naprowadziła go wojna krymska. Mianowicie podczas oblężenia Odesy w r. 1854 zauważył Maout, że dnia 22 kwietnia niebo pokryło się nagle chmurami, potem spadł deszcz i nadbiegł gwałtowny wiatr, któremu towarzyszyło nagle podniesienie się temperatury. Jak się potem okazało, zjawiska te miały miejsce w godzinę po bombardowaniu Odesy. P. Maout zwrócił na to uwagę. W parę miesięcy później, dnia 5 listopada, zauważył w St. Birieux, gdzie mieszkał, zupełnie takie same objawy i nazajutrz napisał do ministra wojny, że „dnia wczorajszego odbyła się na Krymie wielka bitwa“. Telegrafu jeszcze nie było, więc minister nie tail sceptycyzmu, który znikł, gdy w 11 dni nadeszła wiadomość o bitwie pod Inkermanem.

Na podstawie podobnych obserwacji p. Maout sformułował teorię wytwarzania sztucznego deszczu przez wstrząśnienie atmosfery, i popierał ją dowodami, przyczem sięgał aż do historii. Pod Crecy w r. 1346, gdzie po raz pierwszy użyto artylerji na początku bitwy — jak powiadają kroniki — lunął wielki deszcz z grzmotami i piorunami z jasnego nieba. — Wielu innych odbyło się wśród niespodziewanego deszczu, tak n. p. pod Montebello, Varese, Vecel, Palestro, Solferino, Magenta itd. Przez całą kampanię włoską każdy wieczór bitwy przynosił burzę lub deszcz; gdy zawarto pokój, niebo rozjaśniło się — twierdził p. Maout na podstawie zapisków i pamiętników współczesnych, posuwając się w swych twierdzeniach często na granicę dobrego humoru, gdy n. p. utrzymywał, że „myśliwi wiedzą“ iż wystrzał ze strzelby powoduje często nagle deszcze. Niemniej wesoło przyjęto argument p. Maout, iż każde wstrząśnienie powietrza powoduje deszcze, czego dowodem, że najczęściej trafiają się wielkie deszcze na Boże Narodzenie, na Wszystkich Świętych, na Wielkanoc i na Zielone świątki, gdy dzwoni się we wszystkich kościołach.

Najważniejszym rezultatem badań p. Maout jest to, iż nie tak nie obala teorii, jak wyciąganie z nich krańcowych konsekwencji.

Mimo to p. Maout znalazł stronników. W Stanach Zjednoczonych przedsięwzięto nawet ekspertymenty oparte na jego teorii. W Texas w 1891 r., podczas bardzo suchego lata, zaczęto puszczać balony, które eksplodowały w górze i rzeczywiście, jeżeli mamy wierzyć sprawozdaniom, rezultat nie był zły. W każdym razie miało okazać się, że jeśli pogoda jest niepewna i grozi deszczem, to wybuchy balonów przyspieszają opad. Były to zresztą jedyne doświadczenia i od roku 1891

nie mówiono więcej w rolnictwie o sztucznym deszczu.

Dopiero rok temu, w Nowej Zelandyi, podjęto je na nowo w charakterze urzędowym, o czem zdaje sprawę Monthly Weather Review w numerze 7 z roku 1908. Doświadczenia odbywały się w okręgu Osmarn, położonym bardzo niekorzystnie, gdyż z trzech stron otoczonym górami, które „wychwytyją“ chmury dążące tam i wypróżniają je na własny użytek. Jedyne od wschodu można się spodziewać deszczu, jeżeli nie przeszkodzą mu rolnicze inne niekorzystne wpływy. Podczas suszy miesiącami nie widzi się kropelki deszczu, średni zaś opad w ciągu lat czterdziestu wynosił 55 cm., z maximum 82, minimum 33 cm. W 1907 r. panowała susza, pola były puste; ażeby wyżywić bydło, trzeba było sprowadzić paszę, niektórzy właściciele wysłali je na okolice mniej dotknięte klęską. Straty obliczano na 25 milionów, mimo że znaczna część inwentarza poszła na konserwy.

Przypomniano więc sobie doświadczenia, czynione w Texas, otwarto listę skladek i wkrótce można było przystąpić do działania, zwłaszcza, że rząd udzielił materiałów wybuchowych po cenie kosztu i przysłał urzędowego meteorologa do kierowania próbami. Nie kierowano się przy tem naiwną ideą p. Maout, że ażeby wywołać deszcze, dość narobić hałasu, gdyż widziano, że eksplozje nie przysporzają powietrza wilgoci. Doświadczenia oparto na tezie, że tylko wtedy można liczyć na powodzenie w sprowadzeniu „sztucznego deszczu“, jeżeli atmosfera jest do pewnego stopnia przesycona wilgocią i ukazują się chmury. Meteorolog starał się udzielić jak najdokładniejszych wskazówek, kiedy można liczyć na zebranie się i przeciąganie chmur.

Pierwszy raz wystrzelono trzykrotnie, spalając kolejno 25, 30 i 60 funtów prochu, zmieszanego z dynamitem. Deszcz nie spadł. Za następną próbą zwiększonego naboju, lecz eksperyment nie mógł być dokładnie stwierdzony, gdyż deszcz spadł wprawdzie po wystrzałach, lecz — spadał już i przed nimi. Za trzecim razem, mimo, że barometr wskazywał bliski deszcz i strzelano kilkanaście razy z wielkim nakładem prochu, rezultat był równy zeru. Przy wszystkich trzech doświadczeniach deszcze silne spadały o kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów od miejsca prób, co napawało komitet przeświadczeniem, iż przyczyną tego były wystrzały, meteorolog był wprost przeciwnego zdania i nie widział żadnego związku między strzałami w jednym, deszczem w drugim miejscu.

W ten sposób zakończyły się doświadczenia nowozelandzkie, pomyślnie o tyle, iż podczas wyczekiwania na czas sposobny do „ustrzelenia deszczu“, deszcz przyszedł sam i potrwał dłuższy czas. Nawet komitet, zarządzający te eksperymenty, nie twierdził zresztą, ażeby przerwanie suszy było wynikiem strzałów. Meteorolog urzędowy wogóle traktuje nie na seryo teorie p. Maout, a rozumuje tak: skoro ma deszcz powstać, muszą ziścić

się dwa warunki, powietrze musi posiadać pewną ilość wilgoci, w stanie takiego nasycenia musi się oziębic. Czy strzał z działa jest w stanie sprowadzić błąd zwilgocenia powietrza, bądź jego oziębienie? Co do pierwszego, to niezawodnie przy strzale powstaje pewna ilość przy wodnej, lecz w stosunku do milionów metrów sześciennych powietrza nie ma to większego znaczenia, jak kropla w ogromnym stawie. Co do oziębienia, to strzał może działać tak chyba, że nagle ogrzewałby powietrze, które wracałoby do dawnego stanu, t. j. oziębiliby się. I tu jednak rozmiary eksplozyji i jej skutków są zbyt drobne, ażeby mogły odziaływać na przestworza powietrzne. Gdyby 170 czy 200 kilo dynamitu mogło sprowadzić deszcz na przestrzeni paru kilometrów kwadratowych, to strzał z rewolweru musiałby mieć taki sam skutek, gdyby padł np. w dużej skrzyni. Takie zaś doświadczenie nigdy nie wydało i nie wyda rezultatu.

Słowem próby sprowadzenia sztucznego deszczu nie powiodły się i rolnicy nowozelandzcy muszą dalej zdawać się na łaskę chmur. Brak rezultatu, nie wynika to zresztą ze złego ujęcia problemu, tylko z braku środków dość potężnych, ażeby dobrą ostatecznie koncepcję urzeczywistnić. Gdyby mianowicie powietrze było przepojone wilgocią w dostatecznej mierze i gdyby wystrzał mógł być dość silny, w takim razie deszcz sztuczny stałby się rzeczywistością. Pierwsze zdarza się bardzo często... drugie jednak nie odpowie oczekiwaniom, i dlatego, mimo teorii p. Maout, albo deszcz naturalny, albo go wcale nie będzie.

Jak się urządził Mateusz Chojak, aby wszystko w domach szło po jego woli.

Sąsiedzi podkpiwali sobie z Mateusza, że siedzi pod pantoflem swej kobiety i nic po swojej woli zrobić nie może.

Mateusz ożenił się z Salką, córką bogatego kowala gminy. — Jeszcze jako dziewczyna słyneła Salka z uporu, któremu nikt poradzić nie mógł. Sama matka jej uskarżała się przed sąsiadami na tę wadę swej córki, ale z drugiej strony przedstawiała ją jako najpracowitszą dziewczynę i gospodynię jakich mało.

Cała wieś zgadzała się na to, że Salka jest najurodziwszą dziewczyną ze wsi, że zawsze pierwsza przy robocie, a ostatnia od roboty odchodzi, że kowal, jej ojciec, uskładał piękną sumkę dla niej na wiano, jeśli dziewczyna wcześniej czy później pomyśli o małżeństwie.

Były to same dobre strony Salki, które podobały się nie mało chętniej do żeniaczki młodzieży męskiej, a przecież żaden nie ślał do niej swatów — upór jej odstraszał każdego. Jeden tylko Mateusz Chojak nie dał się odstraszyć tą wadą, nadszkwiał dziewczynę i w końcu wprowadził ją jako gospodynię do swej chaty, myśląc sobie: — Już ja sobie z nią przecie poradzę.

Pobrali się więc, ale już krótki czas po ślubie tak wesoły wpieryw Mateusz, lubiący towarzystwo, nie pokazywał się nigdzie, nawet w karczmie. Ale nikt się temu nie dziwił, nazywali go teraz pantoflarzem i podkpiwali z niego. Ale mylili się. Mateusz nie był taki głupi i jeśli od pięciu już lat znosił babskie rządy, to tylko dla tego, żeby babę „badać“, jak mówił. Potem częściej jeszcze zaczął przychodzić do karczmy niż przed ożenkiem i pokazywał się wszędzie przy każdej zabawie. Ludzie nadziwić się nie mogli tej zmiany. Jak się Mateusz wziął do tego, aby złamać opór swej żony, to wiedział tylko on sam.

Salka nie odstąpiła swego uporu, wszystko musiało iść według jej woli, jak zawsze, ale Mateusz już ją „wybadał“ i umiał wszystko obrócić na swoją korzyść. Był to człowiek spokojny, któremu zgoda w domu droższa była nad wszystko, a przytem zanadto kochał swoją Salkę, aby się jej w czemkolwiek sprzeciwić. A że znalazł praktyczną metodę obchodzenia się ze swoją kobietą, tak praktyczną i mądrą, że Salka zawsze miała ostatnie słowo, a przecież działa się wszystko po jego woli.

Rzecz tak się miała:

W niedzielę po południu Mateusz poszedłby był chętnie między innych gospodarzy — do karczmy, ale nie mógł iść, bo Salka sobie tego nie życzyła.

Jednego dnia przyszedł sługa gminny i zaprosił go do karczmy na zgromadzenie, na którym obradować miano nad ważnymi sprawami gminy.

— Nie pójdę! — rzekł Mateusz do żony — nie warto mi się ubierać i siedzieć w karczmie wedle jakiegoś głupstwa a może i pieniądze tracić w dodatku na piwo.

— Co? Ty nie pójdziesz? — sprzeciwiała się żona. — Ale ja chcę, żebyś poszedł! Nie możesz wiecznie siedzieć w chałupie na posmiewisko ludzkie! A toby ładnie było, cała wieś by mnie wyśmiała. Na te kilka groszy także dzięki Bogu patrzeć nie potrzebujesz; tam gdzie inni mogą, tam może także i Chojak i lepiej jeszcze. Jednym słowem pójdziesz na zgromadzenie i koniec na tem, jak tak chcę!

Tego właśnie chciał Mateusz; poszedł; życzenie jego zostało spełnione, a zarazem jego żony.

Gdy taka próba udała się, musiały się powieść i wszystkie inne.

Mateusz miał nie małą ochotę na nowe ubranie, nową parę butów i „fajną“ koszulę. Trzeba było zatem uciec się do podstępny.

— Oho! — rzekł, wziąwszy w rękę ubranie niby przypadkiem, — myślałem, że ta kapota gorzej wygląda, ale widzę, że mi jeszcze niejedną rok posłuży i to na na niedzielę,

— Co? — rzekła przekornie kobieta — nie wstydzisz się chodzić jak jaki żebrak? A kto by cię wtedy uszanował? I na koszuli już tylko lata na łacie... aż mnie wstyd za takiego chłopca. Właśnie, że nie będziesz w tej kapocie chodził dłużej, jak żebrak jaki, ja tego nie ścierpię. W sobotę przyjdzie krawiec i weźmie ci miarę na ubranie, czy chcesz czy nie chcesz — a ładne

plótno sprowadzę ci z miasta, rozumiesz? Tak chce, tak będzie, ani słowa słowa więcej.

— Jak chcesz, Saluś! — odrzekł pokornie Mateusz — a w dwa tygodnie później paradował już w nowej kapocie, w nowych butach i nosił pierwszą w życiu „cienką“ koszulę.

Tym podstępny sposobem przeprowadził zawsze swoją wolę, a żona myślała, że to jej wola. Jak tylko czego pragnął, opowiadał natchmianem coś przeciwnego — a Salka nawet nie przeczuwała, że życzenie męża było obliczone na jej przekorę. Gdy go sąsiedzi pytali, jak on się urządza właściwie, że w zgodzie żyje z Salką, odpowiadał:

— Trzeba mieć rozum i kobietę „wybadać“ to potem wszystko idzie jak z płatka. Od tego czasu rozpowszechniło się we wsi przekonanie, że Mateusz nie siedzi pod pantoflem swej żony.

Heretyk przez osła nawrócony.

Pan Bóg często używał nierozumnych zwierząt jak konia i osła do przekonania heretyków o prawdziwej obecności Jezusa Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie. Mamy tego liczne przykłady, oto jeden między wielu innymi:

W Rimini, mieście włoskiem, pewien heretyk imieniem Benipiglio, bezbożnym bluźnierstwem w wielu duszach obudzał wątpliwość względem rzetelnej obecności Boga w Najświętszej Eucharystyi. Święty Antoni Padewski, który w tych okolicach głosił słowo Boże, dysputował z nim i jasnemi dowodami z Pisma św. tak go przekonał, że kacerek nie miał co powiedzieć, jednakże nie mniej trwał w błędach swoich.

— Zbijasz mnie słowami, mówił do Świętego, boś uczony, ale mnie trzeba dowodów widzialnych; okaż mi jaki cud, a przyrzekam, że uwierzę.

— I z tego się nie wymawiam z pomocą Bożą, — rzekł Święty. Jakiego cudu pragniesz? Zapytał go.

Po chwili namysłu, Benipiglio, pewny, że wstydem okryje zakonnik, rzecze do niego:

— Mam osła w domu, nie dam mu jeść przez trzy dni, a potem wywiodę go na plac publiczny i stanę przed nim z owsem, a ty stań z tem, co zowiesz Ciałem Bożem, jeżeli osiel porzuciwszy owies pokłoni się Bogu twemu, ja uwierzę.

Święty Antoni przyzwolił, ufając, że Pan Bóg dla chwały i imienia swego i dla pożytku dusz, nie odmówi mu tej łaski. Wiadomość przyszłego cudu rozbiegła się po mieście; trzeciego dnia lud tłumnie się zgromadził na placu publicznym, zebrała się także ze swym mistrzem wielka liczba heretyków; św. Antoni odprawiwszy Mszę św. wychodził z kaplicy niosąc Ciało Chrystusowe, otoczony dostojnikami miasta z pochodniami w rękę; wyszedł też heretyk z owsem, puszczając osła swego, do którego Antoni rzecze:

— Osle, mocą stworzyciela twego, którego ja niegodny mam w rękę, rozkazuję ci, abyś przystąpiwszy oddał pokłon Panu twemu.

Ledwie to wymówił, a oto głodny osiel opuściwszy owies, zbliża się i upada na kolana, składając część Przenajświętszemu Sakramentowi... O! jakie wesele katolikom! jakie zawstydenie heretykom! Krzyki radości, wdzięczności rozlegają się po mieście... Wiara święta się wślawia, błędy kacerskie upadają. Wielka liczba heretyków a na ich czele Benipiglio, dziękując Bogu za takie cuda, wyjaśniają prawdę Najświętszej Tajemnicy Ołtarza i wracają na łono Kościoła katolickiego.

Mazurek wielkanocny.

Hej mazurek wielkanocny
Ma poróżne zwrotki,
Lecz sens zawsze ich jednaki:
Słodki, słodki, słodki.

Z marcepanu, czekolady,
Masy lub szarlotki
Jest mazurek ten przedziwny
Słodki, słodki, słodki.

Kielbasa.

I naliczyłem: kręgów siedm było...
Coraz to mniejsze ku środkowi biegly,
Kędy się jajko, jak wzgórek bielilo.

I na tych kręgach oczy moje legły,
I to wyznaje, że mi było miło
Widok tych kręgów oglądać rozległy.

O! bo nie były to piekielne kręgi.
Po których błdził Dant na dziwy lasy:
Były to złote, zrumienione wstęgi

Wędzonej, lśniacej, litewskiej kielbasy
I biegly po niej refleksy i pregi,
A całość była niezrównanej krasy.

Humorystyka.

Dwie kumoszki.

— Cóż porabia wasz syn, kumoszko?
— Służy biedaczysko w marynarce.
— A to mój szczęśliwszy, bo mu pan jego sprawił liberyę.

* Zagalopował się. *

(Scena między ojcem a kilkunastoletnim synem).

— Ty lajdaku, gdybym ja tyle przykrości zrobił mojemu ojcu, to by mnie chyba zabił!

— E, bo tam taty ojciec!... Jest też o kim mówić...

— Co! O moim ojcu nie warto mówić?...
A ja ci powiadam, że twój ojciec, wobec mojego, jest skończone zero!